LATO „APACZÓW" Z TARNOWA

JUŻ OD KILKU LAT jestem wodzem „Apaczów". Jest nas pięciu. Mamy stroje indiańskie i ekwipunek, który wykonaliśmy własnoręcznie. Na lato przygotowujemy wyprawę w góry. Pragniemy odpocząć od miasta i zaznać smaku wędrówki górskimi szlakami.

Jesteśmy z sobą bardzo zżyci. Może to dlatego, że mieszkamy w dzielnicy, o której mówią nie najlepiej. A my unikamy kolegów, którzy zachowują się źle. **(bs).**

Tadeusz Tyrka
Tarnów

Świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 52 (1940) 30 czerwca 1970 r. Cena 50 gr

MELODIE warszawskich KURANTÓW

STOLICA ma już 6 grających zegarów wieżowych. Każda z pięknych kurantowych melodii związana jest ze swoją dzielnicą.

Na MDM — na rogu Marszałkowskiej i Wilczej — z wnętrza pięknego mozaikowego zegara słychać takty „Warszawianki".

Na uniwersytecie — zegar wygrywa starą studencką pieśń „Gaudeamus igitur".

Na Ochocie — o godzinie 17.00 kurant gra fragment „Etiudy Rewolucyjnej" Chopina.

Na Mokotowie — też o 17.00, o godzinie „W" (godzina wybuchu Powstania Warszawskiego), można usłyszeć nie tylko melodię, ale i słowa powstańczej pieśni pt.: „Marsz Mokotowa", skomponowanej przez jednego z uczestników bohaterskiego zrywu, J. Markowskiego. Mokotowski zegar ma jedyny dotąd na świecie kurant częściowo śpiewany.

Na Pradze — „nuci" „Okę" zegar trzytarczowy umieszczony na gmachu Liceum im. Władysława IV. Melodia ta jest tak pięknie nagrana, że słuchającym rzeczywiście wydaje się, że: „szumi dokoła las..." Z tą pieśnią na ustach doszli żołnierze polscy właśnie na prawy brzeg Wisły.

Na Woli — kurant o godzinie 12.00 i 18.00 gra rewolucyjną pieśń: „Na barykady ludu roboczy"...

T. K.

O pięciu braciach zegarmistrzach i ich najnowszym zegarze z kurantem przeczytacie na str. 4-5.

Teresa Sukniewicz nową rekordzistką świata

Wspaniałym akordem zakończyła się tegoroczna wiosna naszej lekkiej atletyki. Po kilkunastu rekordach Polski mamy wreszcie nowy rekord świata. Ustanowiła go 20 czerwca Teresa Sukniewicz w drugim dniu zawodów Memoriału Janusza Kusocińskiego przebiegając 100 m p. pł. w czasie 12,8 sek! Wynikiem tym zawodniczka warszawskiej Gwardii poprawiła rekord świata, należący od zeszłego roku do Karin Balzer (NRD) o 0,1 sek. Natomiast własny rekord Polski p. Teresa poprawiła aż o 0,4 sek.

— To nie był jeszcze idealny bieg — powiedziała T. Sukniewicz. — Wciąż jeszcze nie jestem zadowolona z szybkości.

Gratulujemy i życzymy pani Teresie, aby ten idealny bieg nastąpił jak najszybciej. (b)

Na zdjęciu rekordzistka świata, 22-letnia studentka SGPiS, Teresa Sukniewicz na podium zwycięzców.

Foto: CAF-Matuszewski

P. JERZY KRASICKI — autor wspomnień z podróży do Afryki, których pierwszy odcinek zaczynamy drukować dziś — jest dramaturgiem. Przez dwadzieścia lat był zawodowym aktorem. Rzeźbiarz-hobbysta. Twierdzi, iż minął się z powołaniem — powinien być archeologiem. Interesuje się kulturą pierwotną. Był w 32 krajach świata. Jest jednym z niewielu Polaków, którzy zdobyli szczyt Kilimandżaro.

OKO w OKO ze SŁONIEM i LWEM

PODRÓŻE PRZEZ CZARNY LĄD

JESTEŚMY w samym sercu Afryki, na stepach Massajów, w pobliżu ich świętej góry, która wyrasta wysoką skałą z szerokiej, otwartej płaszczyzny. Wspaniałe, parasolowate akacje, podobne do wielkich pinii, urozmaicają ten krajobraz. Tutaj na przybysza z Europy na każdym kroku czeka niespodzianka, pułapka, nawet śmierć. Jest z nami Alojzy, młody Murzyn z plemienia Czaga. Bystry, inteligentny, sympatyczny. Od wielu lat pracuje u p. Jerzego Krokowskiego, który jest myśliwym, przedsiębiorcą, znakomitym szlifierzem drogich kamieni, a na dodatek zastępcą szefa policji okręgowej w Arusza. Idziemy przez gęste zarośla

buszu, ścieżką wydeptaną przez słonia. Gdyby teraz jakieś zwierzę — lampart, lew, nosorożec czy słoń — wypadło na nas, nie mielibyśmy nawet gdzie się schować. Po obu stronach ścieżki cierniste krzaki, zwane „zeriba", a trawa słoniowa przerasta nas o dobre pół metra. Nie mamy przy sobie żadnej broni. Raz po raz zapadamy się w głęboko odciśnięte ślady olbrzymich słoniowych stóp. Nagle Alojzy przystaje i wskazuje na coś ręką. Widzę wyraźny trop.

Prócz słonia szedł tędy lampart. I to niedawno.

Dokończenie na str. 4–5

Ta z lewej — to doktor Karczewska, ta z prawej — to Wanda Chotomska. Aż w oczach nam kręci się łezka, górno- i opolsko-śląska.

A Szymon, swoim zwyczajem, coś tam rysuje, coś baje... I chociaż jest laureatem, pomysłów ma sto nad krawatem.

Foto: A. Wierzyński

NOWI KAWALEROWIE „ORDERU UŚMIECHU"

18 CZERWCA br. odbyła się w Opolu kolejna IX dekoracja Kawalerów „Orderu Uśmiechu". Jest ich obecnie 38. Ostatnią dziesiątkę stanowią — na wniosek dzieci — zarówno ich jak i nasi przyjaciele:

DR JADWIGA GÓRNIAK i DR KRYSTYNA KARCZEWSKA — lekarki z Dziecięcego Szpitala w Zabrzu — zajmują się dziećmi chorymi na cukrzycę. Działają jako instruktorki harcerskie w akcji „Nieprzetartego Szlaku". Z własnej inicjatywy organizują i prowadzą kolonie letnie dla chorych dzieci. Są założycielkami Koła Naukowego przy Śląskiej Akademii Medycznej, propagującego pediatrię wśród studentów ostatnich lat.

ANDRZEJ KIERUZALSKI — twórca harcerskiego teatru „Gawęda". Teatr ten od 19 lat bawi i wychowuje dzieci i młodzież całej Polski. Obecnie teatr „Gawęda" działa bardzo skutecznie przy Pałacu Młodzieży w Warszawie, a jeszcze skuteczniej popularyzuje harcerską sztukę amatorską w wielu krajach Europy.

SZYMON KOBYLIŃSKI — artysta grafik, ilustrator wielu książek dla dzieci, znany ze swoich telewizyjnych i radiowych gawęd, współtwórca projektu graficznego „Orderu Uśmiechu", opracowanego na podstawie pomysłu 9-letniej Ewy Chrobok z Głuchołazów. Na dekorację przyjechał z żoną Danutą, synem Maćkiem, psem „Punią" i oswojonym wróblem, który grzecznie siedział na drążku.

WANDA KOKOSZKA — działaczka ZMW ze wsi Grądy, pow. Grodków. Ma 22 lata. Niezależnie od tego, że wspólnie z ojcem prowadzi gospodarstwo rolne, zajmuje się domem i ośmiorgiem młodszego rodzeństwa — organizuje dla dzieci wiejskich dziecińce, świetlice, zimowiska, place gier i zabaw. W roku 1969 otrzymała tytuł Bohatera Roku ZMW.

ANTONI LACH — zastępca naczelnego redaktora Opolskiej Rozgłośni Polskiego Radia, harcmistrz „z krwi i kości", m. in. twórca Opolskiego Radiowego Klubu Pancernych, zwany przez swoją 70-tysięczną „armię" generałem.

IRENA ORLIK-GRZESIK — kierowniczka słynnego Klubu PTTK „Fablokowych Drapichróstów", dla których „nie ma przeszkód i nie ma złych dróg".

ANDRZEJ ORLIK-GRZESIK — księgowy Fabryki Lokomotyw w Chorzowie, niezmordowany propagator turystyki i krajoznawstwa ku radości dzieci i nie tylko dzieci.

BOLESŁAW PERL — nauczyciel ze Szkoły Nr 3 w Cieplicach. Instruktor wychowania muzycznego, organizator imprez harcerskich i pozaharcerskich, ulubieniec dzieci i młodzieży, zwłaszcza Szczepu Harcerskiego „Błyskawica".

RUDOLF SZYDŁO — dyrektor Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Głuchych w Przemyślu. Od roku 1956 prowadzi z wielkim powodzeniem poradnię dla dzieci głuchych i niedosłyszących. Ma na swoim „koncie" rewalidację wielu dzieci, czyli przygotowanie ich do życia i wykonywania zawodu.

Uroczystość odznaczenia „Orderem Uśmiechu" odbyła się w gmachu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu.

O godz. 16.00 uczestnicy Kapituły i Odznaczeni przeszli uroczyście przez szpaler umundurowanych harcerzy do auli, gdzie redaktor naczelny „Kuriera Polskiego" — Cezary Leżeński przekazał wszystkim pozdrowienia od nieobecnej z powodu choroby przewodniczącej Kapituły „Orderu Uśmiechu" — pani Ewy Szelburg-Zarębiny, inicjatorki budowy „Centrum Zdrowia Dziecka". W jej imieniu dekoracji dokonała promotorka „Orderu Uśmiechu", Wanda Chotomska.

Przy dźwięku fanfar w podniosłym nastroju pasowała nowych Kawalerów „Orderu Uśmiechu" uderzając ich trzykrotnie w lewe ramię piękną ciemnoczerwoną różą i wygłaszając następującą rotę nominacji:

„W imieniu dzieci polskich Kapituła Orderu Uśmiechu przyznaje Ci to najbardziej słoneczne ze wszystkich odznaczeń. Pasuję Cię na Kawalera Orderu Uśmiechu i żądam, abyś zawsze, na przekór wszystkim wiatrom i burzom, był pogodny i innym pogodę przynosił."

Wzruszeni laureaci powtarzali: **„Przyrzekam, że zawsze będę pogodny i innym będę pogodę przynosił".**

Sądząc po głosie, najbardziej wzruszony był Antoni Lach, który wespół z Szymonem Kobylińskim uroczyście podziękował za zaszczytne odznaczenie.

W części artystycznej wystąpiły dzieci ze Szkoły Nr 23 w Opolu.

Po uroczystości Kawalerowie „Orderu Uśmiechu" i członkowie Kapituły mieli spotkania z dziećmi opolskich szkół.

*

Przypominamy, że „Order Uśmiechu" przyznawany jest dwa razy w roku (pierwszy dzień wiosny i ostatni dzień lata).

1. KANDYDATAMI DO ODZNACZENIA mogą być dorośli opiekunowie i przyjaciele dzieci ze wszystkich zawodów i środowisk, którzy swą pracą i postawą wnieśli uśmiech w życie dziecka.

2. WNIOSKODAWCAMI mogą być tylko grupy dzieci: np. grupy podwórkowe, szkoły, klasy, drużyny harcerskie, świetlice, domy dziecka, ogródki jordanowskie itp. Obszernie uzasadnione wnioski powinny być podpisane przez **wszystkich wnioskodawców grupy.**

3. WNIOSKI NALEŻY NADSYŁAĆ JAK NAJSZYBCIEJ POD JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH ADRESÓW:

a) „Kurier Polski", Warszawa, Hibnera 11

b) Telewizja Warszawa, Plac Powstańców 7

c) „Świat Młodych", Warszawa, Mokotowska 24

UWAGA: Na kopercie należy koniecznie dopisać hasło: „Order Uśmiechu" i podać dokładny adres nadawcy.

Czekamy na wnioski

RZECZNIK
„ORDERU UŚMIECHU"
PRZY
„ŚWIECIE MŁODYCH" —
WACŁAW BISKO

Ciekawe

Znaczone zające

Człowiek, nie znający nawyków australijskich zajęcy, będzie bardzo zdziwiony, kiedy zobaczy jak w skupieniu „czeszą" one swoje podbródki. Ktoś pomyślałby, że zające mają do rozwiązania jakieś ważne problemy. Tymczasem jedynym i najważniejszym dla nich problemem jest pilnowanie „swego" terytorium, aby nie zajęły go inne zające.

Pod dolną szczęką zwierzęcia znajdują się gruczoły wydzielające silnie pachnący płyn. Płynem tym zające smarują sobie łapki, po czym kilka razy obiegają wokół swoje terytorium. Teraz każdy obcy zając przekraczający „pachnącą" granicę wie, iż czeka go walka z właścicielem tego terytorium.

Już w czasie walki, aby nie pomylić napastników ze swoimi dziećmi, tatazając zmusza je do umazania łapek w pachnącym płynie swego podbródka.

Dzięki temu właśnie zapachowi ojciec z łatwością odróżnia własne „pociechy" od cudzych zajęcy. (b)

Zagadkowy klej ślimaków

Wewnętrzna powierzchnia muszelki ślimaka jest idealnie gładka. Żaden znany dziś klej nie przyklei do tej powierzchni dostatecznie mocno niczego. Natomiast klej wydzielany przez ślimaka tak mocno przykleja jego ciało do ścianki, iż w żaden sposób nie można go oderwać.

Jakie są składniki tego „ślimaczego" kleju — oto zagadka, nad rozwiązaniem której głowią się uczeni. Jeśli uda się ją rozszyfrować, nowy klej przyda się w przemyśle. (b)

NIEGDYŚ było to senne 25-tysięczne miasteczko, w którym nic się nie działo. Miasteczko staruszków i emerytów. Dziś ilość mieszkańców przekroczyła 73 tys., a miasto stało się nie tylko dynamicznym ośrodkiem przemysłowym i ważnym skupiskiem kulturalnym, ale także odmłodniało, wypiękniało, poweselało...

Na młodość i urodę Zielonej Góry wpłynął na pewno także Festiwal Piosenki Radzieckiej, który już od 6 lat święci tu swe triumfy.

Piosenka radziecka zadomowiła się w Polsce na dobre. Słyszymy ją w radio, w kinie, na estradzie. Radzieckie melodie chętnie włączają do swego repertuaru zawodowe zespoły muzyczne i znani piosenkarze. Najbardziej jednak lubi radziecką piosenkę młodzież. To właśnie ci młodzi uczniowie — amatorzy śpiewający w szkole, świetlicach czy klubach — ujawnili prawdziwy urok i wdzięk radzieckiej piosenki. A zielonogórski Festiwal poniósł ją daleko w Polskę i uczynił bliską i zrozumiałą dla każdego.

„Świat Młodych" uczestniczył w tym roku w tym zielonogórskim święcie piosenki. Brał udział w licznych spotkaniach, imprezach i koncertach. Przeprowadził wiele rozmów i błyskawicznych wywiadów z laureatami. Oto sylwetki tych, którzy wysłanniczce „Świata Młodych" spodobali się najbardziej.

Dyrygent Stefan Rachoń jest bardzo zadowolony ze swoich śpiewających pupilków. Powiada, że tegoroczny Festiwal jak nigdy dotąd ujawnił wiele prawdziwych talentów.

ZIELONA GÓRA

czyli „Zawsze niech będzie słońce"

Marysia Wawrzyńska — ma 18 lat i uczęszcza do Liceum dla Wychowawczyń Przedszkoli w Grudziądzu. Debiutowała w „Mikrofonie dla wszystkich" zajmując pierwsze miejsce. Śpiewała też na Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Połczynie-Zdroju (miała wtedy 16 lat). W tym roku w Zielonej Górze Marysia zdobyła główną nagrodę przewodniczącego WRN za piosenkę „Serce na śniegu". Na pytanie, jakie ma życzenie, Marysia odpowiedziała:

— Proszę na łamach „Świata Młodych" serdecznie pozdrowić moją wychowawczynię, panią Zofię Olesińską, i koleżanki z klasy, które życzyły mi powodzenia. A także moją 7-letnią siostrzyczkę, z którą mam wiecznie dużo roboty. (Tak się dzięki niej wyuczyłam niańczyć dzieci, że wybrałam zawód przedszkolanki).

Danusia Sobik — znana Wam już z ubiegłorocznego Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu (zdobyła nagrodę za utwór „Wiatr wiosenny gitarzysta") — uczy się w Technikum Ekonomicznym w Rybniku. Danusia ma dopiero 16 lat, ale już od dawna interesuje się piosenką. Kto wie, czy nie wyrośnie z niej nowa Irena Santor.

Urszulka Smoła — mieszka w Tarnowie. Jest uczennicą III kl. Liceum Ogólnokształcącego Nr 1. Już od czterech lat śpiewa w Młodzieżowym Domu Kultury. W Zielonej Górze zdobyła główną nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za piękne wykonaną piosenkę o Uljanowsku. Urszula powiedziała nam, że śpiewanie piosenek to jej największa radość. Ma ich w swym repertuarze około 40.

Bożenka Adamek — jest uczennicą Liceum Ogólnokształcącego w Lublinie. Znana jest w swym mieście nie tylko z tego, że ładnie śpiewa, ale także z roli Nel w teatralnej adaptacji „W pustyni i w puszczy". Teatr Miejski im. J. Osterwy w Lublinie ogłosił swego czasu konkurs na najlepszą odtwórczynię Sienkiewiczowskiej bohaterki. Spośród 104 kandydatek wybrano właśnie Bożenkę. Ma ona na swym koncie już prawie 50 przedstawień w samym Lublinie i województwie. Bożenka zwierzyła się nam, że marzy o karierze aktorskiej, bardzo lubi recytować (zdobyła III miejsce w konkursie recytatorskim), a do udziału w zielonogórskim Festiwalu skłoniła ją szkolna koleżanka Ela Zielińska, laureatka z zeszłego roku. Bożenka piosenką „Mama" wzruszyła publiczność, a najbardziej własną matkę, która przyjechała wraz z córką do Zielonej Góry i słuchając koncertu ukradkiem ocierała łzy.

*

NIE SPOSÓB wymienić wszystkich wykonawców. Było ich tak wielu. Na estradzie Hali Ludowej wystąpiło 31 solistów, 3 duety oraz 1 kwartet. Reprezentowali wszystkie województwa Polski. Śpiewali wiele nowych, nie słyszanych jeszcze, piosenek. Najwięcej kompozycji Arno Babadżaniana Błantera, Szaińskiego, Muradellego... Dyrygent Stefan Rachoń, którego orkiestra towarzyszyła młodziutkim wykonawcom powiedział w rozmowie ze „Światem Młodych":

— Jest wprost zdumiewające, jak młodzież czuje i rozumie radziecką piosenkę. Jak jest wrażliwa, umuzykalniona, uzdolniona. Przecież wszyscy ci wykonawcy to amatorzy. A głosy mają takie piękne, takie silne, takie czyste... Serce się raduje, gdy patrzę na naszą cudowną, rozśpiewaną młodzież. Oby ta piękna impreza, jaką jest Festiwal Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze, objęła jeszcze szerszym kręgiem młodzież całej Polski. Bo piosenka jednoczy, wychowuje i uwrażliwia na piękno.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

Iwonka Szych i Grażynka Wosik pochodzą ze Szczecina. Chodzą do jednej klasy. Siedzą w tej samej ławce. Są rozmiłowane w muzyce. Obie uczęszczają do Średniej Szkoły Muzycznej (klasy fortepianu). W przyszłości zamierzają utworzyć duet fortepianowy.

Podczas trwania Festiwalu wielu uczestników nawiązało serdeczne przyjaźnie. Czekanie na próbę urozmaicano sobie wspólnym śpiewem piosenek. Foto: Janusz Urban

OKO w OKO ze SŁONIEM i LWEM

Ciąg dalszy ze str. 1

Trzeba mieć dużo szczęścia, aby zobaczyć lamparta. Ja miałem to szczęście. Oto pewnego dnia w rezerwacie Maniara pośrodku słynnego Rowu Afrykańskiego pan Krokowski nagle zatrzymał łazika. Nad nami, na gałęzi rozłożystej akacji, spał wspaniały, centkowany okaz. Nie bacząc na niebezpieczeństwo wyszliśmy z auta z kamerami gotowymi do „strzału". Lampart otworzył oko, ziewnął ukazując wspaniałe uzębienie, zamachał ogonem, zszedł z drzewa i... oddalił się spokojnie. Obserwowałem trawę, wśród której szedł: nie poruszyło się ani jedno źdźbło.

TAKIE SĄ SŁONIE

ALE OTO przed nami słonie! Widzę cztery wspaniałe okazy, które wychodzą z zarośli, wachlując się niespokojnie wielkimi uszami. Ich trąby usiłują zwietrzyć najlżejszy zapach zwiastujący niebezpieczeństwo. To przewodnicy stada. Za nimi kilkanaście samic i młodzież. Pochód zamyka straż tylna składająca się z trzech rosłych samców. Bliska obecność tych największych zwierząt lądowych świata każe dosłownie wstrzymać oddech. Mają w sobie takie cechy, które zwykle przypisuje się człowiekowi: godność, poczucie więzi rodzinnej i społecznej, zmysł organizacyjny, szlachetność. Filmuję je i pstrykam kolorowe zdjęcia.

Nie tylko w dzikich ostępach, ale nawet na głównych szosach czy torach kolejowych można tu często spotkać się ze słoniem. Ostrożność jednak nie zawadzi. Opowiadano mi o pewnym Murzynie, który, chcąc przepędzić słonia ze swego pola, rzucił w niego kamieniem. Słoń poczuł się znieważony, pobiegł za Murzynem do wioski omijając innych ludzi, znalazł go w chacie, podniósł trąbą i zabił na miejscu. W rezerwatach nie wolno polować, ani nawet przychodzić tu z bronią. Nie wolno też opuszczać samochodu.

DOPÓKI BAGNO NIE WYSCHNIE

NAD NIEWIELKIM BAJOREM stoi całe stado bawołów. Trzeba je koniecznie sfilmować. Jedziemy ku nim powoli, aby się nie spłoszyły, chociaż bawoły nie są lękliwe. Zdają sobie widać sprawę z siły swych potężnych rogów. Po przebyciu kilkunastu metrów nasz łazik zapada się w bagno, które na oko sprawiało wrażenie zwyczajnej kałuży. Pan Krokowski wyłącza silnik i opiera ręce na kierownicy.

— Co robimy? — pytam.

— Stoimy.

— A jak długo będziemy stali?

— Dopóki bagno nie wyschnie.

To właśnie jest Afryka. Niczego nie można przewidzieć. Jest początek maja, bagno wyschnie w końcu czerwca. Jesteśmy otoczeni bawołami, które dokoła mają jedzenia w bród, a my — tylko na jeden posiłek.

— Będę się starał wycofać na tylnym biegu — mówi pan Krokowski. — Ale niech pan spojrzy na tego bawołu. To przewodnik stada. Jeżeli on się spłoszy i zaatakuje nas, inne bawoły pójdą jego śladem i po prostu wdepczą nas w bagno. Za minutę nie będzie po nas śladu.

Jakoś wygrzebaliśmy się, bawoły nas nie zaatakowały.

GDY ZARYCZY LEW

WYBRAŁEM SIĘ z panią Aliną, Polką mieszkającą w Kenii, do rezerwatu niedaleko Nairobi, stolicy tego kraju. Wiedziałem, że są tam lwy i chciałem je koniecznie sfilmować. Wreszcie po kilku godzinach kluczenia autem po buszu, wyjątkowo otwartym i płaskim w tym miejscu, ujrzałem na niewysokim pagórku stado autentycznych lwów. Skręciliśmy prosto ku nim. Po kilku minutach zatrzymaliśmy się w odległości około pięciu metrów przed stadem. Siedem wspaniałych okazów: ojciec, trzy mamy i trójka młodych. Nagle — nie zważając na protesty mojej towarzyszki — wysiadłem z auta. Ten mój ruch był z pewnością bardzo nierozważny, ponieważ dokonał się jakby przy wyłączonej świadomości. W chwili gdy nogi moje dotknęły ziemi, najbliższy lew, ten który kończył obgryzać kości antylopy gnu, warknął i spojrzał na mnie napinając mięśnie. Przez chwilę mierzyliśmy się nawzajem wzrokiem, tylko że ja patrzyłem **na** lwa, a lew patrzył **we** mnie, do mego wnętrza. On mnie uważał po prostu za pożywienie.

Lew ma opinię zwierzęcia szlachetnego. Poluje tylko wtedy, gdy jest głodny. I za każdym razem potężnym rykiem ostrzega zwierzęta, które stanowią jego pokarm, że wychodzi na polowanie. Ponadto nie znęca się nad swymi ofiarami. Nie czekałem, aż zaryczy. Wciągnąłem do auta nogi i zatrzasnąłem drzwi.

W przeciwieństwie do lwa lampart poluje znienacka. A takich zwierząt człowiek obawia się najbardziej. Na przykład wszelkiego rodzaju węże, zwane „n'dioka" powodują wśród Afrykańczyków zrozumiały, zabobonny lęk. Spotkałem raz węża. Była to kobra. Murzyn, który był ze mną, uciekł przerażony, ale wąż, podobny do wielkiego węża, nawet się nie obudził. O wiele bardziej niebezpieczne są żmije bananówki o kolorze gałęzi banana. Zupełnie niewidoczne wśród zieleni. Ich jad zabija bardzo prędko.

Z podziwem patrzyłem na panią Domaradzką, staruszkę osiemdziesięcioletnią, która na kilka dni przed moim przybyciem na jej afrykańską fermę upolowała własnoręcznie maczetą olbrzymiego węża boa. Jego skóra po wysuszeniu miała około czterech metrów długości. Pani Domaradzka oświadczyła mi, że wybiera się nocą do buszu, aby upolować lamparta, który zakrada się zbyt często do jej kurnika.

Niebezpiecznie jest stąpać po ścieżkach dzikich zwierząt, ale dopiero tam Afryka ukazuje cały przepych swoich uroków i tajemnic. Bojąc się o życie, tym głębiej człowiek czuje jego wartość. Teraz z większym smutkiem oglądam zwierzęta w klatkach ogrodów zoologicznych. One bardzo tęsknią za Afryką. Ja także.

JERZY KRASICKI

GŁÓWNY DYSPOZYTOR LNP ODPOWIADA

KTO MOŻE BYĆ CZŁONKIEM LNP?

Mam bardzo „fajnego" dziadka. Był leśnikiem, a teraz jest na emeryturze. W zeszłym roku przez całe wakacje chodził ze mną, z moją siostrą Magdą i moim przyjacielem Jarkiem do lasu. Nauczył nas podpatrywać zwierzęta, rozpoznawać ich tropy i ślady, jakie zostawiają na żerowiskach, obliczać wiek drzew... i wiele innych ciekawych rzeczy. Czy dziadek może otrzymać legitymację LNP? Kto może należeć do Ligi?

Wojtek S.
„Leśny Tropiciel"

NIC nie stoi na przeszkodzie, aby dziadkowi wystawić legitymację LNP. Z listu Wojtka wynika, że dziadkowi nie brakuje świetnych pomysłów, a to jest najważniejsze. Bo jeśli idzie o wiek, to członkiem LNP może zostać każdy, kto *skończył czwarty* rok życia, a *nie zaczął sto czwartego.*

Najchętniej przyjmujemy do Ligi *całe zorganizowane grupy lub „paczki":* harcerskie zastępy wakacyjne, samorządy podwórkowe Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, „kluby pancernych", koleżeńskie „paczki", które w ubiegłym roku wraz z Albatrosem i „Światem Młodych" wędrowały „Ścieżką Sokolego Oka" i wszystkie inne, którym spodobały się lub spodobają nasze pomysły. Bardzo chętnie witamy takich, którzy dopiero po przeczytaniu naszego „lekarstwa na ponuraków" doszli do wniosku, że ze „Światem Młodych" można wesoło spędzić wakacje.

Przystępować do LNP mogą też indywidualiści, którzy postanowili działać w pojedynkę.

Każda grupa powinna *wybrać swojego szefa,* jeśli go dotychczas nie posiada (bo np. w zastępie harcerskim szefem jest oczywiście zastępowy). „Samotnicy" będą jednocześnie szefami dla samych siebie.

Jednym słowem do LNP mogą należeć wszyscy.

A obowiązki? *Uczestniczyć co najmniej w kilku operacjach LNP.* Tych, którzy wezmą udział we wszystkich, czeka pod koniec wakacji niespodzianka. A poza tym: *pisać meldunki do „Świata Młodych" o wykonanych zadaniach* adresując je na nazwisko każdego kolejnego superszefa operacji.

Na meldunki o wykonaniu zadań operacji „Godzina zero — start!" — czekam osobiście, bo jak się domyślacie, nasz genialny komputer nie ma nazwiska.

ZABRAKŁO NAM LEGITYMACJI

Jest nas sześciu. Dostaliśmy tylko trzy numery „Świata Młodych" z legitymacjami LNP. Co mamy robić? **„Apacze"**

Druk legitymacji w „Świecie Młodych" powtórzymy dwukrotnie w ciągu wakacji. Szukajcie więc w najbliższych numerach!

JERZY MAJKA
Główny Dyspozytor LNP

O PIĘCIU BRACIACH ZEGARMISTRZACH I ICH ZEGARZE

Oto na dachu PDT Wola piątka braci Osińskich na tle widzianego od tyłu zegara. Stoją od lewej: Leon, Wojciech, Wacław, Leopold i Jan.

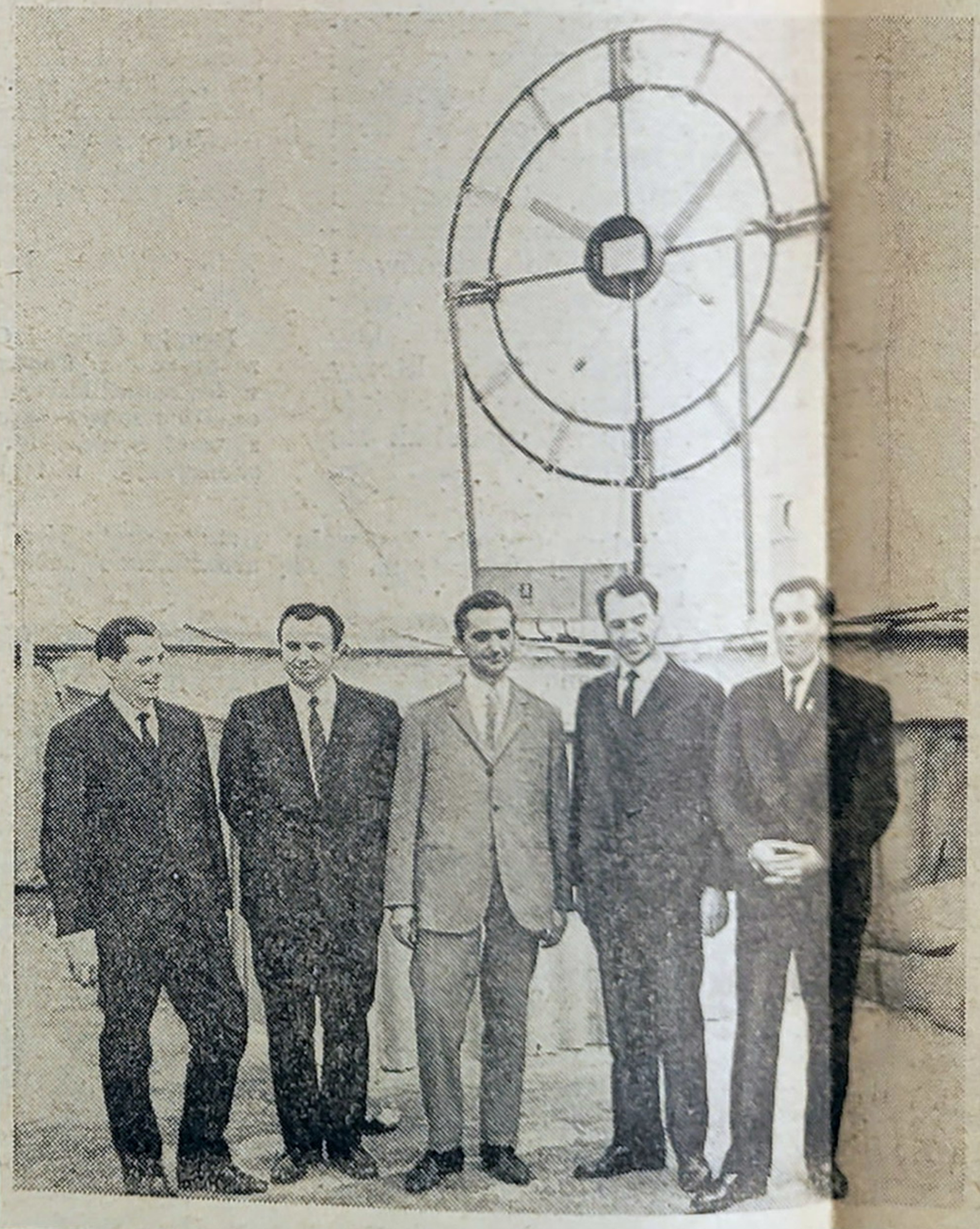

Rys. M. Majewski

TAJEMNICZE PLEMIĘ INDIAŃSKIE „YURI"

W GRUDNIU 1968 ROKU kolumbijski kupiec futer Juliano Jil zaginął w dżungli w okolicy rzeki Bernardo. Jil przebywał tam razem z dwoma przewodnikami — Indianami, w celach handlowych.

Władze kolumbijskie wysłały ekspedycję ratunkową, w której skład weszło kilkunastu żołnierzy. Nie było jednak wśród nich naukowców, co zdaniem dra Roberta Carniero z amerykańskiego Muzeum Historii Przyrody wpłynęło na niepowodzenie ekspedycji. Jej uczestnicy natrafili wśród dżungli na nieznaną wioskę, ale mieszkańcy uciekli przed przybyszami. Juliano Jila nie odnaleziono. Ekspedycja zdołała jednak po paru dniach odnaleźć w dżungli kilku tubylców i zabrać ich w charakterze zakładników do miasteczka La Pedrera. Po drodze widziano wśród gęstych zarośli niewielkie pólka, uprawiane najwidoczniej przy pomocy narzędzi kamiennych.

Z przywiezionymi do La Pedrera zakładnikami próbowano porozumieć się za pośrednictwem sprowadzonych przedstawicieli różnych indiańskich plemion dorzecza Amazonki, mówiących w trzydziestu tubylczych językach. Niestety, nie udało się nawiązać z nimi kontaktu.

W lipcu 1969 roku dziennikarz i antropolog francuski Ives Guy Berger odwiózł owych tajemniczych Indian-zakładników do ich wioski. Ale i tym razem w wiosce nie zastano żywej duszy, chociaż widoczne tu i ówdzie uprawne pólka bananów i dzikiego manioku świadczyły, że wioska jest zamieszkała. W jednej z chat znajdował się wielki bęben, sporządzony z wydrążonego pnia drzewnego. Przywiezieni przez Bergera Indianie pozostali w wiosce, natomiast on sam wrócił do cywilizowanego świata, przywożąc m. in. kamienną siekierę.

Kim są ci Indianie z dżungli nad rzeką Bernardo? Dr Carniero przypuszcza, że należą oni do plemienia „Yuri", o którym nie słyszano od stu lat i które uważano za wymarłe. Podróżnik-etnograf Karol van Martius opublikował w roku 1867 opis swej podróży do Amazonii, podczas której zetknął się z Indianami „Yuri". Tatuaż ich twarzy, kształt domostw, niektóre wyrazy ich języka są bardzo zbliżone do kultury Indian znad brzegów rzeki Bernardo. Ich tryb życia oraz narzędzia — jak gdyby żywcem przeniesione we współczesność z epoki paleolitu — ogromnie interesują etnografów i antropologów. Aby poznać tajemnice plemienia „Yuri", organizuje się obecnie nową, jak najbardziej pokojową, a więc pozbawioną broni i eskorty wojskowej, ekspedycję naukową, mającą wyruszyć śladami Jila i Bergera. (b)

GODZINA 11.15 — słychać cztery uderzenia. Wpół do dwunastej — osiem. Trzy kwadranse po jedenastej — 12. Dwunasta! — 16 uderzeń zwiastuje zakończenie ostatniego kwadransa, a po chwili 12 głośniejszych obwieszcza, że minęło południe.

Czekam na coś jeszcze. Wszak ma to być zegar z kurantem. Tak, już gra! Dla mieszkańców robotniczej Woli — jest to melodia rewolucyjnej pieśni „Na barykady, ludu roboczy!" Dla mnie i dla całej braci harcerskiej — to także melodia hymnu: „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy..."

Kilka tygodni temu odsłonięto ten szósty już spośród wieżowych zegarów z kurantem, jakie w darze dla swego miasta wykonali warszawscy rzemieślnicy.

Wszystko zaczęło się 5 lat temu, kiedy to prezesem Cechu Złotników, Zegarmistrzów, Optyków, Grawerów i Brązowników został pan Jerzy Januszkiewicz. Starszyzna cechowa rzuciła hasło: zegar z kurantem w każdej dzielnicy Warszawy! Ale nie poprzestano na zegarach. Prócz tego wykonano tablice pamiątkowe, insygnia rektorskie, pomniki. Wartość czynu społecznego przekroczyła już 1 milion 800 tysięcy złotych, ale czy wszystko można przeliczyć na złotówki?

Wnętrze zegara na dachu

PRZYZWYCZAILIŚMY się do widoku zegarów, które mieszczą się w całości w skrzynce, pudełku czy też „kopercie". Nieczęsto oglądamy mechanizmy zegarów wieżowych, a z dołu widać przeważnie tylko tarczę.

Tarcza zegara wolskiego jest ażurowa; właściwie to tylko duża obręcz z dwiema wskazówkami. Gdzie kurantowe dzwony, gdzie sprężyna lub wagi? — myślałam.

Na dachu Domu Towarowego, w małym „pokoiku" specjalnie w tym celu zbudowanym, pokazano mi najpierw duży stojący staroświecki zegar z wahadłem — to on właśnie wydzwania godziny i kwadranse. Dalej stoi coś, co przypomina magnetofon — tu odtwarza się z taśmy melodię kurantową nagraną przez kompozytora Mieczysława Janicza w studio radiowym, na tzw. dzwonach angielskich.

A jeszcze dalej umieszczono właściwy zegar wbudowany w pulpit. Różni się on od wszystkich, jakie widywałam dotychczas. Okazało się, że jest to elektryczny zegar-matka. Służy do sterowania zegarem tarczonym, zegarem bijącym i urządzeniem kurantowym. Taśma magnetofonowa przesuwa się tylko 2 razy dziennie: — o 12.00 i 18.00. Natomiast co minutę długi pręt obraca się przesuwając wskazówki na tarczy. Ruch minutowej jest widoczny, ale godzinowej, pokonującej odcinek 12 razy krótszy — niezauważalny.

W uroczystości przekazania zegara wzięły udział tłumy mieszkańców Woli. Na zdjęciu Jan Osiński w towarzystwie brata Leopolda (z lewej) i pana Jerzego Januszkiewicza, prezesa Cechu — odbiera z rąk przewodniczącej DRN podziękowanie za piękny dar.

Na wszystkich czterech krawędziach zainstalowano aż 16 głośników. Gdyby nie one, panujący wokół zgiełk uliczny, odgłosy aut i tramwajów zagłuszyłyby piękne dźwięki.

Wskazówek zegara wieżowego nie ochrania szkiełko, trzeba więc zapobiec skutkom działania wiatru, deszczu, mrozu, oblodzenia — nic nie powinno zakłócić miarowego ruchu „czasomierza". Trzeba przewidzieć coś jeszcze...

— Zegar wieżowy można uznać za dobry — powiedział mi pan Jan Goraj, specjalista w tej dziedzinie — **jeśli wskazówka z siedzącą na niej wroną mimo obciążenia pójdzie w górę.**

Neonowy zegar pięciu braci

MINĄ LATA, a Warszawa nie zapomni o braciach Osińskich, wykonawcach zegara na Woli. Oryginalna to rodzina! W całej dotychczasowej historii światowego zegarmistrzostwa nie było aż 5 braci — zegarmistrzów.

Pięciu miała ich matka. Wszyscy: Leopold, Wacław, Jan, Wojciech, Leon — urodzili się tu, w Warszawie. Kiedy w sierpniu 1939 roku porzucił ich ojciec, najmłodszy skończył zaledwie trzy a najstarszy 11 lat. Matce zawdzięczają wszystko. A potem, gdy dorośli, zawsze jeden mógł liczyć na pomoc pozostałych czterech.

O wyborze zawodu nie zdecydowała tradycja rodzinna. Żaden przodek nie przekazał im ani swej wiedzy tajemnej, ani warsztatu. Po prostu mieli zdolności do mechaniki, już jako mali chłopcy reperowali budziki sąsiadów, krewnych, znajomych.

Zaraz po wyzwoleniu zaczął najstarszy. Trzeba było pieniędzy na utrzymanie licznej rodziny. Przy nim uczył się następny... i tak dalej...

— Żaden się nie wyłamał? — pytam braci Osińskich.

— Jeden spróbował, ten najmłodszy. Skończył technikum radiowe, przez rok pracował jako radiotechnik, a potem... i on poszedł w nasze ślady. Ale to dobrze, że Leon zna się na radiotechnice. Bez niego nie byłoby „naszego" elektrycznego zegara.

„Klan" Osińskich pracował przy wszystkich cechowych tykających prezentach dla Warszawy. Ale jeden zegar chcieli sami zrobić. Chcieli, żeby to był ich rodzinny prezent dla rodzinnego miasta.

Każdy warszawiak wie, że są w stolicy dwa świecące (neonowe) zegary; jeden przy Rondzie Waszyngtona, drugi na hotelu „Metropol". Oba pochodzą jednak z Czechosławacji. Jaśniejący srebrzyście na tle granatowego nieba zegar pięciu braci jest więc krajowym prototypem.

— Cała trudność polega na oświetleniu wskazówek, które w przeciwieństwie do tarczy są ruchome — mówi pan Jan Osiński, średni brat, wiceprezes Cechu, odznaczony w 1969 roku Złotą Odznaką za Zasługi dla Warszawy i Srebrnym Krzyżem Zasługi. — **Trzeba więc było skonstruować tzw. ślizgacze do przenoszenia energii elektrycznej.**

— Jak długo robiliście panowie ten zegar i jak dzieliliście pracę?

— Zaczęliśmy półtora roku temu, co w przeliczeniu daje 3 500 roboczogodzin, nie licząc konferencji i dyskusji z kolegami. A każdy z nas pracował po prostu wtedy, kiedy mógł.

— Ten zegar był trzynastym zegarem ofiarowanym przez rzemieślników (bo prócz kurantowych były jeszcze inne zegary uliczne). Czy feralna liczba nie zapeszyła?

— Nie. Zegar funkcjonuje dobrze. Przez ostatnią noc montowaliśmy całą aparaturę na dachu i nie zmrużyliśmy oka do rana. A teraz 2 razy dziennie zaglądam na górę, jestem konserwatorem naszego zegara — mówi Jan Osiński.

— A co będzie, jeśli nastąpi przerwa w dopływie prądu, przecież to zegar elektryczny?

— Przewidzieliśmy i to. Przez trzy dni może brakować prądu, a zegar będzie chodził i tak, chociaż po cichu: bez kuranta i bez wybijania godzin, dzięki samowystarczalnemu urządzeniu zabezpieczającemu.

TERESA DROGA-KUPCZYNSKA

Foto: K. Adamowski

WILKI na GRANICY

ALEKSANDER WIĄCEK
JERZY RUSZCZYŃSKI

ODCINEK 19.

ciął biegnącą równolegle do rzeki drogę i po zarośniętej mokrą trawą skarpie zbliżył się pod sam domek. Chciał zajrzeć dyskretnie przez okno, ale przeszkadzał mu drewniany płotek. Miał zamiar go właśnie sforsować, gdy usłyszał znajomy szept:

— Dobrze, że przyszedłeś, Wierzba, cześć.

Po drugiej stronie płotka Wierzba z trudem dojrzał sylwetkę przytulonego do ściany Szpaka.

— Cześć Leon! Grabarz tam jest?

— Na pewno. Chyba dziś będzie go Seretiuk przeprowadzał przez starą elektrownię. Coś o tym przejściu ciągle gadają. Słyszysz? Już się chyba zbierają do wyjścia.

Wierzba dojrzał przez firankę sylwetki dwóch mężczyzn, chodzących po pokoju. Jeden z nich wkładał właśnie płaszcz, drugi zarzucał plecak na ramię.

— Słuchaj, Leon — szepnął Wierzba. — Już teraz nie ma czasu wołać chłopaków. Ja pobiegnę przodem i zaczaję się w ruinach. Jak usłyszysz mój strzał, to łap ich za wszelką cenę. Broń masz?

— Mam, stary. Bądź o mnie spokojny. Wal naprzód, bo idą.

Usłyszeli zgrzyt w zamku drzwi wejściowych na przeciwnej stronie domu. Wierzba jednym susem znalazł się u dołu skarpy. Na tle nieba ujrzał sylwetki dwóch mężczyzn, wychodzących zza roku domu. Sierżant wskoczył do suchego, w tym miejscu rowu, pobiegł jego dnem w kierunku ruin elektrowni. Tamci szli wolno w tym samym kierunku.

Wierzba wszedł w ruiny, zaczął schodzić po schodach do piwnicy. Butem starał się wyczuć, na którym schodku zacznie się lustro wody. Minął nie tylko ósmy, ale dziewiąty i dwunasty stopień, a tu nic. Wiedząc, że jest niewidoczny z zewnątrz, zapalił ostrożnie latarkę z niebieską przesłoną.

— Co jest, u diabła starego? — zdumiał się.

Pierwszy raz zobaczył w tym miejscu obszerną piwnicę wyłożoną kamienną posadzką, przykrytą cienką warstwą wilgotnego mułu. Ciężkie żelazne drzwi łączyły piwnicę z długim opadającym wąziutkim korytarzem. Drugie małe drzwiczki drewniane prowadziły do niewielkiej piwniczki bez wyjścia. To pomieszczenie uznał Wierzba za najlepszy punkt obserwacyjny. Tym razem nie musiał długo czekać. Już po kilku minutach Seretiuk wprowadził grabarza do dużej piwnicy powiesił na ścianie zapaloną latarkę.

— Wodę wypompowali, więc niedługo powinni przyjść — stwierdził. — Jak pan myśli, kto będzie pana następcą? — pytał Seretiuk.

— Chyba przyjdzie Cynkowski — odparł grabarz. — Trzeba go będzie gdzie indziej urządzić, bo tutaj już go trochę poznali. On nie przebiera w środkach. Starego znajomego zabił, byle uciec.

— Zdaje się, że już idą — Seretiuk wsunął głowę za uchylone żelazne drzwi od korytarza...

Przez szparę w drzwiczkach Wierzba zobaczył sylwetkę młodej kobiety z plecakiem i latarkę idącego za nią mężczyzny. Znajomy, ironiczny głos Cynkowskiego doszedł do jego uszu.

— Koniec, Nysa za nami, a tu ruiny, czyli jesteśmy w Polsce.

— Greta! — zawołał grabarz podbiegając do dziewczyny. Pomógł jej zdjąć plecak i uściskał ją serdecznie. — Tak się za tobą stęskniłem.

— Przez ostatnią wizytę mogłam kark skręcić. Czy teraz też muszę tam iść?

— Niestety, musisz jeszcze przez pewien czas być Irmą. Tym razem dasz sobie na pewno radę. Jak wrócisz, będziemy bogaci i już zawsze razem.

— Mam już dosyć tych obiecanek — żachnęła się Irma.

— Słuchaj, Karol — wtrącił Cynkowski. — Jak mam być twoim następcą, to musisz mi dać trochę informacji. Kogo mi tam zostawiłeś?

— Poczekaj, mamy czas na rozmowę — zbył go grabarz. — Posiedź tu sobie z Seretiukiem, on ci też trochę powie. Chodź, Greta, zobaczysz, jak ładnie jest nocą na łąkach — dodał biorąc dziewczynę pod rękę i popychając w kierunku schodków.

— Tylko nie siedźcie tam za długo — zawołał Cynkowski.

Ledwie zniknęli za zakrętem schodów, do uszu Wierzby doszedł okrzyk:

— Hände hoch! Puść Irmę, Karol, bo strzelam! Uwaga!

Strzał rozległ się w ruinach donośnym echem. Dziewczyna szlochając pochyliła się nad padającym Karolem.

W tym samym momencie Wierzba zakładał kajdanki trzęsącemu się ze strachu Seretiukowi, a Cynkowski z guzem od kolby rewolweru leżał w kącie piwnicy.

— Tylko mi się stąd nie ruszaj — pogroził sierżant Seretiukowi i z latarką w ręku ruszył ku schodkom. Zaraz za zakrętem, nienaturalnie wykręcony, leżał na boku grabarz. Obie dłonie zacisnął na łydce, a przez jego palce sączyły się wolno pierwsze krople krwi. Pochylona nad nim Irma dopytywała się cichym, niespokojnym głosem:

— Was ist los, Karl? (Co ci jest?) Bardzo cię boli? Kość cała?

Grabarz, nie odrywając oczu od przestrzelonej nogi, warknął tylko:

— Daj mi spokój, Irma.

Na najwyższym stopniu, z czarnym naganem w ręku, stał Leon Szpak. W ostrym świetle latarki Wierzba dostrzegł jego nieco speszoną minę.

— Nie chciałem strzelać — zaczął się tłumaczyć. — Ledwo zawołałem, to on...

— Nie gadaj tyle — przerwał mu Wierzba. — Chodź tu, musimy go wynieść na trawę. Zobaczymy, co mu zrobiłeś.

Szpak usłuchał bez wahania. Wsadził rewolwer za pas, podszedł do grabarza i ujął go pod pachy. Wierzba lufą swego pistoletu skinął rozkazująco na Irmę:

— Chodź tu, panienko, trzeba go przenieść.

Potulnie schyliła się, delikatnie ujęła nogę rannego. Wspólnymi siłami wynieśli grabarza przed ruiny elektrowni, złożyli go ostrożnie na trawie. Nagle jakieś podejrzane odgłosy przypomniały Wierzbie o pozostawionych w piwnicy.

— Czekaj na mnie, Leon! — krzyknął zbiegając po schodkach.

W świetle przyczepionej do ściany latarki Wierzba ujrzał leżącego pod ścianą, ciągle jeszcze nieprzytomnego Cynkowskiego, ale Seretiuka już nie było. Nie domknięte, żelazne drzwi wskazywały wyraźnie kierunek jego ucieczki.

— Zwieje drań, do swoich — z wściekłością pomyślał Wierzba. Chciał jeszcze cofnąć się, powiedzieć coś Szpakowi, lecz po sekundzie zrozumiał, że nie ma już chwili do stracenia. Każda zwłoka, choćby najmniejsza, zwiększała szanse ucieczki Seretiuka. Mimo użycia latarki sierżant nie widział już nikogo w tunelu, lecz echo niosło wyraźnie dudnienie szybkich kroków uciekającego, przytłumione nieco warstwą mułu na podłodze.

— Niedobrze — pomyślał sierżant. — On widzi mnie na tle oświetlonych drzwi, a w dodatku zna ten tunel.

Już było za późno, żeby wracać i zamykać żelazne drzwi. Zgasił latarkę zawieszoną na guziku munduru, wyciągnął naprzód prawą rękę, w której trzymał rewolwer, a lewą dotykał chropowatej, wilgotnej ściany. Ogarnęły go nieprzeniknione ciemności, krępujące ruchy, dławiące gardło. Sądząc, że korytarz nie ma żadnych zakrętów, energicznym krokiem ruszył naprzód. Po dłuższej chwili zatrzymał się. Echo kroków Seretiuka zamilkło.

Czyżby ten drań był już u swoich? — zachodził w głowę Wierzba. A może zaczaił się tu gdzie na mnie?

ALE WIERZBA nie mylił się. Po upływie minuty znów zobaczył dwa błyski światła. Sygnały powtarzały się regularnie, w równych odstępach czasu. To nie była gwiazda mrugająca z zaświatów. Ktoś po drugiej stronie zapalał i gasił lampkę. Po chwili przyczołgał się Jędrzejczak z papierosem w rękawie.

— Skoczcie prędko sprawdzić, czy Seretiuk jest w domu — rozkazał.

Jędrzejczak wrócił przed północą z meldunkiem:

— Siedzi drań w domu. Światło się pali, firanki szczelnie zasłonięte, a on łazi jak małpa po klatce. Widziałem jego sylwetkę.

— Ciekawe, kto odbiera sygnały — zastanowił się Wierzba. — Coś mi się zdaje, że niedługo udowodnimy słuszność hipotezy Szpaka.

— Tego kapitana, co był u nas w cywilu? — spytał „Żyrafa". — Pamiętam go. Fajno maskował się, nigdy nie myślałem, że to oficer. Swój chłopak.

— Na pewno — potaknął niepewnie Wierzba. — Ale o tych sygnałach — zmienił niebezpieczny temat — trzeba będzie dać znać Rosjanom ze strefy okupacyjnej. Może nakryją nadawcę.

Następnej nocy Wierzba był skazany na samotną obserwację. Jędrzejczak jeszcze nie wrócił. Tym razem znalazł sobie kryjówkę nad samą Nysą, między konarami dwóch grubych drzew. Dokuczliwe zimno ciągnęło od wody. Gdzieś od strony kościoła dochodziło szczekanie psów. O dziesiątej ryk syren: najpierw „Wolność", a potem „Feniksa" obwieścił zakończenie pracy drugiej zmiany.

Zmarznięty sierżant podniósł kołnierz płaszcza. Czas wlókł się niemiłosiernie. Z zazdrością myślał o ludziach, odpoczywających teraz w ciepłych łóżkach. Leżąca przed nim osada zasypiała, światła w oknach gasły jedno po drugim. Zegarek wskazywał dwadzieścia minut po jedenastej, gdy zgasło przedostatnie światło. Zostało już tylko oświetlone, częściowo zasłonięte firanką okno w ceglanym domku prawie na skraju Pieńska. Wierzba wiedział, że tam właśnie mieszka Seretiuk. Ostrożnie przeszedł przez łąkę, prze-

Dokończenie
w następnym numerze

Tytus Romek i Atomek

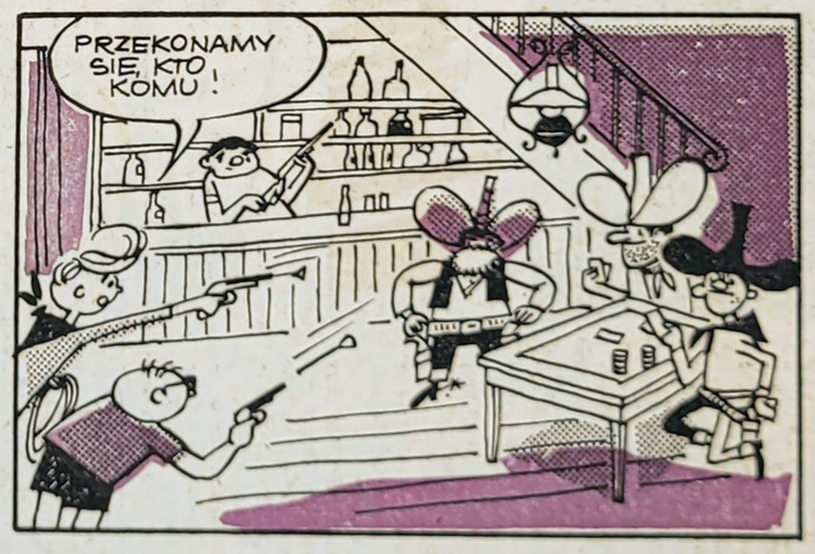

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat admin. 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „PRASA" W-wa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61 Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. ADRES RED.: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24. Niezamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
Zam. 2736 K-19

Rowerowy Rajd dotarł do Lisiego Jaru

W Lisim Jarze STRASZY

OBEJRZYJ SIĘ! — krzyczę do Wiki, wyprzedzając ją. Krzyczę, a wichura, która dmie nam prosto w twarze, wykrzyczane słowa wtłacza z powrotem w gardło. Zresztą oglądać się nie ma po co. Fura zaprzężona w okazałego perszerona, którą dawno zostawiłyśmy we Władysławowie, dogania nas. Dogania i przegania, chociaż koń człapie wcale się nie spiesząc, za to my z całej siły naciskamy pedały, a rowery jak zaklęte stoją niemal w miejscu.

— Koń ma cztery nogi, a my tylko po dwie — stwierdzamy z żalem, zsiadając z rowerów, bo górkę, niestety, musimy pokonać piechotką...

Mijamy Chłapowo, do Rozewia jeszcze ze trzy kilometry, a do Lisiego Jaru chyba cztery.

— Wichrowe wzgórza. Tu zawsze takie przeciągi. Ale to zdrowy wiatr i wywieje ci katar — stwierdza Wika, widząc, że wyciągam chusteczkę.

Na odcinku od Cetniewa aż po Jastrzebią Górę zalegają głęboko w ziemi złoża potasu. One to w połączeniu z jodem wpływają leczniczo na wszelkie katary. Być może, za lat kilkanaście Chłapowo zabłyśnie jako ośrodek leczniczy. Na razie znajduje się tu jedynie ośrodek wczasowy toruńskiej „Elany".

Docieramy do miejscowości Lisi Jar. Rowerki zostawiamy w Domu Wypoczynkowym górników z Wałbrzycha, a same idziemy nad morze, oczywiście autentycznym historycznym wąwozem.

U wejścia do wąwozu stoi obelisk z tabliczką głoszącą, że tym właśnie Lisim Jarem w roku 1598 król Zygmunt III Waza wracał ze Szwecji z nieforunnej wyprawy po koronę. A legenda mówi, że w dniach owych był silny sztorm i królewskim okrętom groziło zatonięcie. Wówczas to okoliczni rybacy wyprawili się po króla swoimi zręcznymi łódeczkami. Dowieźli go do brzegu, a potem nieśli na ramionach aż do czekającej na drodze karocy.

Inna legenda opowiada, że w czasie pierwszego szwedzkiego najazdu w 1626 roku, żołdacy zamordowali rozewskiego latarnika. A więc człowieka, który morzu służył i ludziom z nim związanym. Król oceanów i mórz — Neptun potopił za karę u brzegów Rozewia szwedzkie okręty, a sprawców napadu zamienił w buki. Od tego czasu przylądek Rozewie i Lisi Jar porastają stare bukowe drzewa.

Kaszubski pisarz z Władysławowa, Augustyn Necel, w książce pod tytułem „Złote Klucze", również Lisi Jar przedstawia jako arenę walki Kaszubów ze Szwedami. Tu wiosną 1655 roku lądowały szwedzkie szalupy, tu rybacy z Chłapowa „zasadzkę uczyniwszy" sprawili najeźdźcom tęgie lanie.

Był wśród nich rybak imieniem Jówa. Jówa posiadał władzę „stolema", człowieka obdarzonego siłą niepospolitą. On to właśnie — kiedy szwedzi Puck zajęli — nocą przepłynął zatokę, wdarł się na miejskie mury, wdrapał na wieżę kościelną, na której szczyciе dwa szwedzkie działa stały. Zepchnął te działa z wieży i szczęśliwie wrócił do swoich.

Faktem historycznym jest, że rybacy kaszubscy w czasie „szwedzkich potopów" wiernie bronili granic ojczyzny, dzielnie walcząc z „morzkulcami" jak nazywa Szwedów w „Złotych Kluczach" pan Augustyn, sam zresztą były rybak.

Wąską ścieżką wchodzimy w cień starych drzew. Ale już po kilkunastu metrach ogarnia nas przerażenie! Co się stało z Lisim Jarem? Zza zakrętu wylania się... usypisko śmieci! Stare garnki, puszki po farbie, kubły, szmaty, walają się po zboczach wąwozu. Im bliżej morza, tym gorzej. Dech zapiera smród z kanalizacyjnego ścieku, którym odprowadza się nieczystości z domów wczasowych do morza i to właśnie tu!

Przylądek Rozewie, ze względu na stare buki, stanowi rezerwat przyrody, Lisi Jar, nadmorski wąwóz żłobiony przez wieki erozją wód — pomijając legendy i historyczne fakty — jest unikatem, miejscem ściągającym liczne wycieczki. I oto zaśmiecony, zapaskudzony, stał się urągowiskiem wszelkich przepisów i uchwał, mówiących o ochronie przyrody.

Przydałby się tu stolem Jówa z tęgą pałą. Poradził sobie ze Szwedami, może poradziłby i z tymi, co zaprowadzili tu „potop śmieci".

WIESŁAWA MROCZEK
Foto: W. Iljin

Szykuje się atak na absolutny rekord szybkości samochodu

Od chwili wynalezienia samochodu minęły zaledwie 94 lata. Pierwszym bowiem historycznym pojazdem, który można by nazwać samochodem, był drewniany wóz niejakiego Markusa, wykonany w 1870 roku w Wiedniu. Wehikuł ten wyposażony został w mały silnik benzynowy.

Od tamtego czasu, a właściwie od roku 1890, gdy dwaj inni konstruktorzy — Daimler i Benz — założyli własne wytwórnie nastąpił szybki i dynamiczny rozwój samochodu. Równolegle rozpoczęła się rywalizacja o szybkość. Ambicją każdej fabryki był zbudowanie najszybszego pojazdu świata. I tak od kilku lat aktualny rekord świata samochodu wynosi 966,5 km/h.

Ale na tym nie koniec. W Instytucie Samochodowym w Charkowie grupa młodych naukowców pod kierunkiem Władimira Nikitina pracuje nad konstrukcją samochodu, który pobije absolutny rekord szybkości. Pojazd długości 10 metrów ma być napędzany silnikiem turbinowym o mocy aż 5 500 KM.

Próba pobicia rekordu ma się odbyć na lodowej tafli zamarzniętego jeziora.

(St. B.)

BILETY WIZYTOWE

Z jakich miejscowości przyjechali ci panowie?

W każdym bilecie wizytowym należy tak poprzestawiać litery, by utworzyły one nazwę miejscowości.

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać.

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane bony książkowe po 20 złotych.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

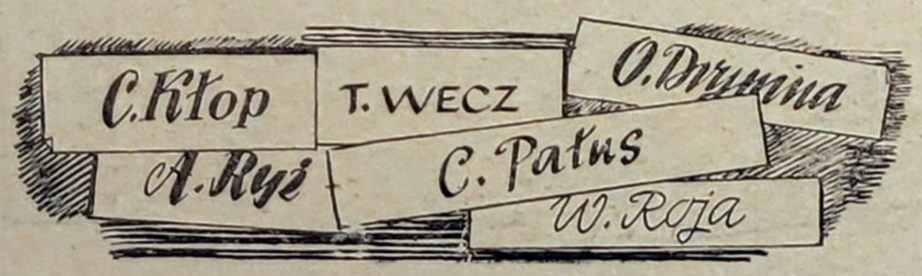

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Rozwiązanie ciągówki z nru 43

Wyrazy: pozew, wada, Artek, kawon, Nida, amant, tyka, adres, szyk, kiep, piec, cicho, opał, Łeba, agora, ar, ryś, świerk, karotka.

Ostateczne rozwiązanie: **POZDRAWIAMY DZIECI CAŁEGO ŚWIATA.**

Bony książkowe po 20 zł wylosowali: **Bogusława Adamczyk** — Pruchnik: **Stanisław Charubin** — Czerwone; **Urszula Grabowska** — Jelenia Góra; **Edward Gudel** — Jałówka; **Włodzimierz Kwasek** — Warszawa; **Krzysztof Lasocki** — Pomiechówek; **Jolanta Machauf** — Szczecin; **Julian Nowicki** — Przyczyna Górna 115; **Maria Olszanowska** — Łomża; **Helena Tokarska** — Piszczac 1.

Wyciąć Wypełnić Przesłać

Czytelnikom „ŚWIATA MŁODYCH"
ciekawe książki z serii Bitwy — Kampanie — Dowódcy
proponuje:

POWSZECHNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

Warszawa 1, ul. Nowolipie Nr 4

B K D — to seria historyczna — o dziejach oręża polskiego na przestrzeni tysiąca dziejów.
Tomiki wydane w małym dogodnym formacie i ładnej, kolorowej szacie graficznej.

Zamówienie

Ilość egz.	Autor	Tytuł	Cena zł
....	Grabski A.F.	— BOLESŁAW KRZYWOUSTY	8,—
....	Grabski A.F.	— BOLESŁAW CHROBRY 967—1025	8,—
....	Koźmiński K.	— TADEUSZ KOŚCIUSZKO 1746—1817	8,—
....	Latoś H.	— WŁADYSŁAW ŁOKIETEK ok. 1260—1333	8,—
....	Majewski S.	— DEBIE WIELKIE — IGANIE 1831	8,—
....	Nowak T.	— KAZIMIERZ SIEMIENOWICZ	8,—
....	Pietras Z.	— LEGNICA 1241	8,—
....	Podhorodecki L.	— HETMAN STANISŁAW KONIECPOLSKI ok. 1591—1646	8,—
....	Przymanowski J.	— BITWA POD STUDZIANKAMI	8,—
....	Ruszyc M.	— GENERAŁ IGNACY PRADZYŃSKI 1792—1850	8,—
....	Sadzewicz M.	— POD CHOCIMEM 1673	8,—
....	Szenic S.	— WALKI O WARSZAWĘ 1656—1657	8,—
....	Tergalski J.	— W OGNIU WALK 1905	8,—
....	Zieliński R.	— WRZESIEŃ 1939	8,—
....	Zieliński R.	— WRZESIEŃ POD KARPATAMI 1939	8,—
....	Zych G.	— RASZYN 1809	8,—

Zamawiam wyżej wymienione ilości książek i proszę o nadesłanie ich pod wskazanym adresem:

Nadawca:

.....
Nazwisko i imię

.....
poczta — powiat

.....
miejscowość, ul., nr domu

.....
województwo

Przesyłkę zobowiązuję się wykupić natychmiast po jej nadejściu.

.....
data podpis

DRUK

znaczek pocztowy 20 gr.

POWSZECHNA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

Warszawa — 1
ul. Nowolipie nr 4
K-167